# Wędrując po wędrujących wydmach

2014-08-15



## Czyli z wizyta na Arrakis... tzn. na Wydmach Łebskich.

*Od naszych znajomych z Gdyni dostaliśmy zaproszenie na wycieczkę do Słowińskiego Parku Narodowego, dokładniej do Łeby i jej okolic. Wyprawa miała odbyć się w niedzielę z samego rana. Mając doświadczenie z dojazdem do Gdyni na tak wczesną porę, postanowiliśmy pojechać do Gdyni już w sobotę, tam u znajomych spędzić noc i wyspani pojechać wspólnie do Łeby.*

Gdynia przywitała nas słoneczną pogodą, dobrze że miasto położone jest nad morzem – chłodna bryza zdecydowanie umilała nam spacer po tym uroczym miejscu. Ali i moim obowiązkowym miejscem przy każdorazowej wizycie jest Skwer Kościuszki. Tym razem skwer wyglądał nieco inaczej. Jego środek był odgrodzony, stały jakieś płotki, skrzynki, rowery, trybuny, innymi słowy coś się miało tam dziać, lub się już działo. Oba nasze przypuszczenia były prawidłowe trafiliśmy na moment po zakończeniu pierwszej części imprezy „Herbalife Triathlon Gdynia 2014". Część druga miała odbyć się nazajutrz.

Wędrując wśród nieprzebranej rzeszy turystów, wędrując po mostach czy wiaduktach – przebiegały one nad torem zawodów, wpadliśmy na pomysł aby odświeżyć sobie pamięć i ponownie obejrzeć zacumowane do nadbrzeża „Dar Pomorza" i ORP „Błyskawicę".

Pierwszy z nich „Dar Pomorza" to oczywiście słynny polski żaglowiec szkoleniowy, użytkowany był przez Szkołę Morską w Gdyni. Niestety połowa tej pięknej fregaty jest w remoncie i nie mogliśmy obejść jej całej. Szkoda, bo jest to zachwycająca jednostka. Oglądaliśmy więc wnętrza w których mieszkało, pracowało, służyło i uczyło się prawie 200 marynarzy. Widzieliśmy magazyn żaglowy, maszynownię i kajuty oficerskie, kambuz, mesę i jej bogaty wystrój. Zajrzeliśmy też do kabiny radiooperatora. Tylko albo przegapiliśmy drzwi na mostek kapitański, albo był on niedostępny. Mieliśmy wrażenie że w dzieciństwie widzieliśmy coś więcej. Zwiedzanie zakończyliśmy

obowiązkowym zdjęciem przy kole sterowym.

ORP „Błyskawica” stoi tuż obok, więc tam również zaszliśmy. „Dar Pomorza” to statek, a „Błyskawica” to okręt, czyli to zupełnie inny charakter jednostek. Pomimo że nie jest żaglowcem, a każdy żaglowiec ma na „dzień dobry” plus 10 do uroku, ma swój inny, nieco odmienny urok. Jest groźniejsza, wydaje się być jak jej imienniczka bardziej nieprzewidywalna, lecz w rekach doświadczonej załogi nie ma problemów z jej kontrolowaniem. Tam oczy świeciły mi się do miotaczy bomb głębinowych, torped i ich wyrzutni, dział 102mm i złożonych na rufie min morskich. Udostępniane wnętrze okrętu to zupełnie co innego niż na „Darze Pomorza”, jest ciaśniejsze, bardziej surowe. Maszynownia zajmuje o wiele więcej miejsca, ale nie ma się dziwić okręt jest szybszy, no i nie ma masztów i żagli. Na końcu zwiedzania jeden z odbywających tam służbę marynarzy zrobił na wspólne zdjęcie, za co mu bardzo dziękujemy!

Następnym obowiązkowym punktem był posiłek i poszukiwanie poczty, lub miejsca w którym można byłoby się zaopatrzyć w znaczki pocztowe – w końcu trzeba wysłać jakieś pamiątki. Jedynym znalezionym przez nas punktem był sklepik na… dworcu PKP, musieliśmy się aż tam cofnąć. Na całe szczęście tuż obok jest poczta, w soboty co prawda nieczynna, ale skrzynka stała tuż obok, więc kartki zostały posłane.

Wieczór minął nam u znajomych na miłej pogawędce.

Rano, tuż po godzinie 7 byliśmy z powrotem na dworcu PKP, skąd po zabraniu pozostałych uczestników wyjazdu udaliśmy się szynobusem w podróż do Łeby. Podróż mieliśmy nie byle jaką, mieliśmy przygody! Podczas jazdy nasza grupa rozmawiała wesoło ze sobą, ja tkwiłem z nosem w Kindlu i w pewnym momencie, na stacji Godętowo, zaczęło mi coś nie pasować. Coś za długo trwał postój… Podejrzenia wzmógł biegający po wagonie maszynista który coś sprawdzał. Nasz pojazd się zbuntował i stwierdził że do przodu to on jechać nie będzie, tylko do tyłu. Jako że nam chodziło aby pojechać z Gdyni do Łeby, a nie z Gdyni do Gdyni, zmuszeni byliśmy pojechać tam podstawionym przez PKP transportem zastępczym. Do Łeby dotarliśmy z godzinnym opóźnieniem. Awarie się zdarzają i rozumiem to. Widać było ze obsługa pociągu była zdenerwowana, ale byli mili i uprzejmi.

W Łebie przesiedliśmy się do meleksa którym pojechaliśmy do Rąbki, gdzie weszliśmy na teren Słowińskiego Parku Narodowego. Idąc leśną drogą położoną na mierzei pomiędzy Morzem Bałtyckim, a jeziorem Łebsko trafiliśmy do Muzeum Wyrzutni. Jest to były, niemiecki poligon doświadczalny gdzie testowano rakiety Rheintochter. Niestety z uwagi na brak czasu odpoczęliśmy chwilkę na przy muzealnym parkingu i ruszyliśmy w stronę Arrakis… tzn. Wydm.

Wydmy były już widać było z pewnej odległości, blask białego piasku oświetlonego słońcem przebijał się przez porastające okolice drogi drzewa. Na dojściu do wydm widać było sporą grupę Fremanów? Nie, to chyba turyści, białka oczu mieli normalne… :-)

Wydmy pomimo że to tylko piasek są bardzo urokliwe. Piasek pochodzi z morza więc jest jasny, ma biały kolor. Wydmy te są bardzo niepokojne i nie mogą uleżeć w miejscu, pędzą one wschodnim i południkowo-wschodnim kierunku z prędkością 1,2 – 1,6 metrów na rok! Jeszcze trochę i Łebę zasypią. :-)

Dość upiorne wrażenie sprawił las zasypywany przez owe wydmy… Z wydm wydzielonym szlakiem, wraz z mrowiem turystów skierowaliśmy się w stronę morza. Tam wędrując w ciszy, otuleni szumem, tak uwielbianego przez mnie morza, skierowaliśmy się z powrotem w stronę Łeby.

Plaża w pewnym miejscu zrobiła się względnie pusta i pozostała tak aż pod Łebę. Tam wrócili turyści, choć w swoim zagęszczeniu przypominali mi bardziej sardynki w puszcze. :-)

W Łebie mieliśmy zobaczyć jeszcze ruiny kościoła i ujście rzeki, ale z uwagi na przygody przy dojeździe zdecydowaliśmy się wracać do domu. Nasza grupa rozstała się w Gdyni, tylko Ala i ja pozostaliśmy w pociągu. Po dojechaniu do Gdańska, przesiedliśmy się do autobusu. Jednak tak szybko do domu nie dojechaliśmy. Autobus pozazdrościł „atrakcji" jakie dostarczył nam pociąg i postanowił poczekać sobie w korku – na trasie był wypadek, na całe szczęście wyglądał na niegroźny. W każdym razie po dodatkowej godzinie jazdy trafiliśmy w końcu, tam gdzie jest najlepiej - do domu.

Na sam koniec – Czerwi na wydmach nie stwierdziłem. :-)

*Artur Wyszyński*